

Jak eksperymenty sytuacyjne poszerzyły wiedzę i wyobraźnię

Stanley Milgram i Philip Zimbardo, dwaj szkolni koledzy, dwaj amerykańscy psychologowie, odmieniają swoimi nowatorskimi eksperymentami rozumienie ludzkich zachowań.

Było to w pewne pogodne lipcowe popołudnie roku 2004, nieśpiesznie szliśmy leśną alejką, nad nami szumiały wiekowe drzewa Puszczy Niepołomickiej, promienie słoneczne przebijały się przez żywą zielen, liście mieniły złotym blaskiem, światło wesoło igrało z cieniami, przeblyskiwało niebo, świergotały ptaki, z rzadka mijaliśmy innych amatorów letniej przechadzki, trzaskały suche gałązki pod stopami, dochodziły nas jakieś pojedyncze słowa, śmiechy, wysokie głosiki dzieci...

My przeważnie milczeliśmy, każde zatopione w swoich myślach. Poza tym dla mojego starszego ode mnie towarzysza był to dość spory wysiłek. I fizyczny, i psychiczny. Naszym celem był pomnik pamięci zamordowanych 25 sierpnia 1942 roku Żydów, półtora kilometra w głąb lasu, jak wiedzieliśmy z planu. Po likwidacji żydowskiego getta w Bochni w 1942 roku dwa tysiące ludzi trafiło do obozu w Bełżcu, a pozostali, osoby uznane za niezdolne do podróży, stare, chore i dzieci, wywieziono do Puszczy...

Niemcy rozstrzelali w ten dzień około 500 osób. Wśród nich byli dziadkowie mojego szwajcarskiego gościa, któremu służyłam za przewodnika i tłumacza. Nie odzywał się wiele skupiony na pokonywaniu drogi i swoich myślach. Urodził się już po wojnie w Holandii, od dawna mieszkał w Szwajcarii, nie znał wojny, nie znał polskiego, nie znał ojczyzny swoich dziadków... Opowiadał mi o nich wcześniej, w krakowskiej restauracji, w samochodzie w drodze do Niepołomic, dokąd najpierw pojechaliśmy zobaczyć miejsce, gdzie mieszkali. Sam niewiele wiedział, a ja dziś jeszcze mniej pamiętam.

Ale pamiętam, że wyobrażałam sobie ich ostatnią drogę, ich rozpacz i bezsilność, strach pomnożony przez pół tysiąca współofiara... nie, to było nie do wyobrażenia! Kilkaset osób wobec własnej śmierci. Tak, ot! Starzy, chorzy, dzieci. Z rąk młodych niemieckich chłopaków. Bo przecież ci ich żołnierze to byli młodzi mężczyźni, często ledwie dorośli, dopiero co chłopcy właściwie... Zaczęłam wyobrażać sobie ich sytuację, pędzą przez las kolumnę przerażonych potykających się ludzi, płaczące dzieci, starych, chorych... ponoć kazali im kopać sobie swoje groby... pewnie wrzaskiem, brutalnym poszturchiwaniem karabinami, wściekli, że tak im opornie idzie... A gdybym była jednym z nich?

Pierwsza myśl, nie, oczywiście nie zrobiłabym tego! Za nic! Nie ja! Nie! Ale myśl druga? Trzecia? Bo gdyby to działa się naprawdę? Przecież nie miałabym wyjścia! Jeśli nie ja zabiję, to zabiją mnie! Jest wojna, a ja jestem żołnierzem, niewykonanie rozkazu to dezercja, dezercja to kula w łeb. Zaczęłam więc o tym rozmyślać, wczuwać się. I po chwili doszłam do wniosku, że musiałabym się na tych biednych udreńczonych jęczących potykających się płaczących ludzi wściec, ryczeć na nich, popychać ich, jestem młodym niemieckim żołnierzem, idę jakimś cholernym obcym lasem, w jakimś nienawistnym mi barbarzyńskim kraju, przekleństwo, verflucht nochmal!

Przecież odkąd pamiętam, wpajano mi, że Żydzi są wszystkiemu winni, a teraz są winni temu, że tu jestem i muszę wykonać tę brudną, nieprzyjemną robotę, choć przecież chciałem być tylko jak ci wszyscy piękni mężczyźni w ich eleganckich mundurach i lśniących oficerkach kroczący dumnie ulicami Berlina, Norymbergii, Monachium... Jakże ich podziwiałem! Być takim jak oni! Tak kroczyć i lśnić! Czuć się jak oni, jak młodzi bogowie! Ja, pokolenie synów Boga... Gottfriedów... Gotthelfów... Gottliebów, Gott mit uns! Bóg był z nami!...

W 1933 roku miałem 13 lat i kochałem parady wojskowe. Ten równy krok, te wszystkie porywające mowy Führera, ten entuzjazm, ta jednogłośność, ten zryw, ta moc, te wyciągnięte ramiona w jasnym geście "Heil...!"! Byłem wniebowzięty. Podobnie jak moi koledzy. Rodzice trochę sarkali, ale co tam starzy, liczyła się nasza młodość, nasza

przyszłość, nasz tysiącletni Reich! A teraz muszę się męczyć w jakiejś dziczy! Babrać w brudnej robocie! Obryzgiwać ich krwią! Jak najszybciej wykonać to wstrętne zadanie i wrócić do cywilizacji, oto czego chcę!

W jakiś czas po wojnie, gdy już podliczono straty, gdy już znano rozmiar zbrodni niemieckich na ziemiach okupowanych, różni ludzie, naukowcy, intelektualiści, pisarze, bezpośredni świadkowie wydarzeń, na różne sposoby usiłowali znaleźć odpowiedź na pytanie, "jak to było możliwe?". Przełomem było dzieło Hanny Arendt "Eichmann w Jerozolimie: rzecz o banalności zła" z roku 1963 mówiące o tym, że zupełnie zwyczajni ludzie, w czasach pokojowych niezdolni do popełniania jakichkolwiek poważniejszych wykroczeń, w czasie wojny mogą stać się bezwzględni zbrodniarzami. Teza ta wywołała powszechne oburzenie, zwłaszcza w środowiskach żydowskich, hitlerowskie zbrodnie przekraczały wszelkie wyobrażenia, nie mogli się ich dopuścić "zwyczajni ludzie", to byli ludzie-potwory, protestowano.

Podczas gdy w Jerozolimie Hannah Arendt (1906-1975) przysłuchiwała się procesowi Eichmanna (1906-1962) i formułowała swoje słynne wnioski, w Nowym Jorku młody psycholog Stanley Milgram (1933-1984) przeprowadzał eksperyment, który miał się stać głośny na cały świat i zapewnić swojemu pomysłodawcy nieśmiertelność a wiedzy o kondycji ludzkiej bezcennego rozpoznania. Adolf Eichmann do końca utrzymywał, jak pamiętamy, że jest niewinny, że wykonywał tylko polecenia przełożonych i że wierzy w Boga, w domyśle, w jego sprawiedliwy osąd. Krótko mówiąc umierał bez poczucia winy, uważał się za trybik w wielkiej maszynie, na której działanie nie miał wpływu. Ludzki sąd uznał go za winnym, przecież wiadomo, że jego wina była bezsporna.

Stanley Milgram zadał sobie pytanie o przyczyny niemieckiego - "ślepego" - posłuszeństwa wobec ewidentnie zbrodniczych rozkazów. Był przekonany, podobnie jak inni specjaliści zajmujący się tym tematem, że naród niemiecki uchodzący w ogólnej opinii za karny i zdyscyplinowany, był szczególnie podatny na posłuszeństwo wobec autorytetu. Postanowił zbadać to eksperymentalnie w Niemczech, ale najpierw wykonał próbny eksperyment na miejscu, w Nowym Jorku. Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania. Okazało się, że ludzie są o wiele bardziej ulegli wobec autorytetu, niż kiedykolwiek sądzono. Wszyscy ludzie, niekoniecznie Niemcy, niezależnie od narodowości.

Eksperyment polegał na tym, że dwóm ochotnikom przydzielano role nauczyciela i ucznia. Obaj siedzieli w oddzielnych pomieszczeniach, nie widzieli się, ale słyszeli, mieli tylko naciskać odpowiednie guziki. "Uczeń" miał odpowiadać na odczytane przez "nauczyciela" pytania, "nauczyciel" miał ukarać "ucznia" wstrząsem elektrycznym, jeśli odpowiedź była błędna. Wstrząsy elektryczne były stopniowane, od znośnych po bardzo bolesne. "Uczeń" reagował na nie jęknięciem po wrzaski i protesty, zależnie od tego, jak były silne. Siedzący w tym samym pomieszczeniu co "nauczyciel" pomocnik z zespołu Milgrama nadzorował całą sytuację. Sam Milgram obserwował wszystko przez lustro weneckie robiąc notatki.

Oficjalna wersja brzmiała, że chodzi o badanie wpływu kary na zdolność uczenia się. Jednak naprawdę "uczeń" był podstawiony i tylko udawał reakcję na ból, nie było żadnych wstrząsów, a badany był jedynie "nauczyciel", a konkretnie jego podatność na polecenia autorytetu, czyli naukowca, pracownika uniwersytetu, siedzącego za jego plecami. 65% badanych "nauczycieli" traktowało "ucznia" całą skalą wstrząsów, mimo tego że - sądząc po odgłosach - "uczeń" naprawdę cierpiał.

Większość ochotników-"nauczycieli" wykonywała polecenia nadzorującego naukowca, czasami sprzeciwiając się, czasami z zaciśniętymi zębami, ale jednak wykonywała, sytuacja tego wymagała. Mogli w każdej chwili przerwać, zwyzywać naukowca, wyjść, zgłosić zajście do władz uniwersytetu, zapłaty, którą dostawali na początku, i tak by nie stracili. Większość tego nie robiła. Starła się być posłuszna i możliwie sumiennie wykonać zadanie. Od tamtego czasu eksperyment ten kilkakrotnie powtórzono, zawsze z podobnym rezultatem.

Po fakcie Milgram oczywiście poinformował ochotników, na czym polegał eksperyment, jak to się mówi, nastąpiło - obowiązkowe przy takich eksperymentach - "odkłamanie". Po czym opublikował wyniki swojego badania. Było to w roku 1963, czyli wtedy, gdy ukazała się praca "O banalności zła" Hanny Arendt. Podobnie jak ona, Milgram spotkał się zarówno z ostrą krytyką, jak i niekłamany uznaniem, świat nauki wdał się w burzliwą dyskusję. Bez względu

na to, czy eksperyment uznano za mniej lub bardziej nieetyczny, udowodniono, że wolna wola jest o wiele słabsza niż sądzono i że człowiek ma o sobie zdecydowanie zbyt wygórowane mniemanie. Nie była to miła do zaakceptowania prawda.

Milgram miał w szkole kolegę, który także miał zająć się w przyszłości badaniem ludzkiej psychy. Był to urodzony w 1933 roku w Nowym Jorku Philip Zimbardo, Amerykanin sycylijskiego pochodzenia, od roku 1968 profesor na Uniwersytecie Stanforda. On z kolei przeprowadził tzw. "stanfordzki eksperyment więzienny" (Stanford Prison Experiment - SPE).

Było to w roku 1971. Chodziło o zbadanie zachowań ludzkich w sytuacji bezwzględnej hierarchii, relacji strażników więziennych z więźniami. Samo więzienie urządzono w podziemiach wydziału psychologii uniwersytetu. Nie było w nim okien a nawet zegarów, ale zamontowano w strategicznych punktach kamery monitorujące. Z ok. 70 ochotników, studentów z USA i Kanady, wybrano 24 po przebadaniu ich życiorysów oraz kondycji psychofizycznej. Zdrowie wszystkich mieściło się w normie, czyli byli to zwyczajni młodzi mężczyźni. Losowano i dziewiątka z nich została strażnikami, pozostała piętnastka więźniami. Wkrótce wcielili się w swoje role...

Mimo że eksperyment miał trwać 14 dni, po wydarzeniach w nocy z 5. na 6. dzień eksperyment przerwano. Poziom agresji okazał się zagrażający bezpieczeństwu uczestników. Mało tego, również nadzorujący eksperyment Zimbardo, który przyjął na siebie rolę "naczelnika więzienia" przyznał później, że i on zamiast pozostać obiektywnym obserwatorem, wszedł - podświadomie - zbyt głęboko w rolę dyrektora więzienia. Dopiero gdy jego współpracownica, Christiana Maslach (Krystyna Maślak, późniejsza żona Zimbardo, z pochodzenia Polka) zaczęła sprzeciwiać się kontynuowaniu eksperymentu widząc co się dzieje, Zimbardo zdecydował się otworzyć "drzwi więzienia" i wypuścić uczestników. Ich stan psychiczny był godny pożałowania, zarówno "strażnicy" jak i "więźniowie" dostali natychmiastową pomoc psychologiczną. W rezultacie rozmów z psychologami wyszli z tego bez traumy, ale uznali to doświadczenie za wyjątkowo ciężkie.

Eksperyment ten, opisany, sfilmowany, analizowany, niezliczoną ilość razy cytowany a także kilkakrotnie powtórzony (m. in. w Polsce przez artystę multimedialnego Artura Żmijewskiego w roku 2005), udowodnił, że role społeczne mają niebagatelny wpływ na kształtowanie się osobowości. Znacznie większy, niż uważano. Człowiek zależy od sytuacji, w jakiej się znajduje, od roli, jaka mu w tej sytuacji przypadnie, nawet od roli symulowanej, nawet jeśli wie, że jest to sytuacja umowna.

<https://www.youtube.com/watch?v=yUZpB57PfhS>

Na temat tych eksperymentów powstały także filmy, dokumentalne Stanleya Milgrama ("Obedience"):

<https://www.youtube.com/watch?v=-vYmnS3wHWY>

i Philipa Zimbardo ("Cicha Furia"):

<https://www.youtube.com/watch?v=L0AwTFJQb3s>

oraz fabularne. Niemiecki w roku 2001 ("Das Experiment"):

<https://www.youtube.com/watch?v=r2aPwHTGnmU>

i remake amerykański z 2010 roku ("The Experiment"):

<https://www.youtube.com/watch?v=gcG50nlHN7g>

Oba niezłe, ale z poważnymi felerami. Filmy fabularne oparte na faktach, mają to do siebie, że ich twórcy - dla

udramatycznienia fabuły - zmieniają to i owo i fakty mogą ulec przekłamaniu. Tak właśnie się stało w obu ekranizacjach "eksperymentu więziennego". Na przykład giną w nich ludzie, na przykład obserwująca eksperyment pani psycholog zostaje wciągnięta do "więzienia" i naprawdę nieomal zgwałcona, na przykład najbardziej agresywny "strażnik" faktycznie trafia do aresztu...

Mamy także całkiem niedawno, bo w roku 2015, film zrealizowany przez Michaela Almereydy o eksperymencie Milgrama pt. "Eksperymentator", wart obejrzenia i przemyśleń:

<https://www.youtube.com/watch?v=O1VOZhwRvWo>

Filmy fabularne to dzieła sztuki, lub, jak kto woli, produkty przemysłu rozrywkowego. Służą zabawie intelektualnej, przeżyciu estetycznemu, lub po prostu zajęciu się czymś w czasie wolnym, lecz nie *sensu stricte* edukacji. Ale ludzie oglądający filmy niekoniecznie weryfikują fakty, nie sięgają do informacji źródłowych. Filmowi opartemu na faktach chętnie wierzą i z taką wiedzą pozostają. Gdyby jednak doszło do śmierci na skutek eksperymentu, Zimbardo musiałby odpowiadać za spowodowanie śmierci przed sądem. Reżyser wersji amerykańskiej Paul Scheuring obarczył pomysłodawcę eksperymentu kryminalnym czynem.

Nie mogło być też aresztowania nikogo z uczestników, nawet jeśli któryś z nich okazał się w zaistniałej sytuacji agresywny. Właśnie to miał wykazać eksperyment, jak działa sytuacja na zachowanie, że może wyzwolić silną agresję u normalnych, zwykle nieagresywnych ludzi. Ci, którzy okazywali się brutalni, musieli się skonfrontować z tym faktem, ale na terapii, którą przeszli po eksperymencie, u psychologa, który tak długo tłumaczył im, że to nie ich wina, aż faktycznie pozbywali się poczucia winy i mogli wrócić do normalnego życia. Reżyser niemieckiej wersji, Oliver Hirschbiegel, zarząną więc sens eksperymentu.

Philip Zimbardo stanął w konkretnej sytuacji po stronie oskarżonych o przemoc żołnierzy-oprawców a przeciw państwu amerykańskiemu. W skandalu, jaki wybuchł, gdy opinia publiczna dowiedziała się o przypadkach znęcania się nad więźniami w czasie wojny w Iraku, uważał, że terapii powinni zostać poddani zarówno więźniowie, jako poszkodowani, jak i żołnierze, i żołnierki, którzy dopuszczali się aktów przemocy. Że sytuacja była nienormalna dla obu stron. Choć gorsza dla więźniów mogła doprowadzić do samobójstw, czy życia w destruktywnym poczuciu winy wśród żołnierzy. Dowodził, że oskarżyć należałoby system jako patologiczny i szkodliwy dla więźniów a także żołnierzy.

<https://www.youtube.com/watch?v=Ozk8UFKGOiw>

Wiedząc to wszystko wróćmy teraz do tego okropnego dnia 25 sierpnia 1942 roku w Puszczy Niepołomickiej. I nie chodzi mi tu o obronę niemieckiego żołnierza, w którego położenie się wczuwałam, ale o zastanowienie się nad kondycją ludzką. Eksperymenty Milgrama i Zimbardo badają mechanizmy zachowań człowieka, ale nie mówią wstecz, co miałyby zrobić tamten młody żołnierz postawiony wobec faktu, że oto bierze udział w masowym mordzie. Była to sytuacja na dobrą sprawę bez wyjścia (jedynym wyjściem byłaby zgoda na własną śmierć żołnierza, co trudno nazwać wyjściem).

W roku 1933 mój wyobrażony niemiecki chłopak miał 13 lat i właśnie był świadkiem dojścia do władzy Hitlera. Jako właściwie dziecko jeszcze nie miał szans na świadome ogarnięcie całej sytuacji, Niemiec w swojej niemieckości, Niemiec w kontekście innych społeczeństw, Niemiec w historycznym ciągu. W szkole karmiony propagandą, w domu - o ile nie był to dom Tomasza Manna, który opuścił Niemcy w 1933 roku widząc co się dzieje - karmiony był najpewniej ideologicznym grochem z kapustą, czyli pomieszaniem poczucia upokorzenia po przegranej wojnie z chęcią zemsty. Dorastając wdychał powietrze Republiki Weimarskiej wraz z gorzkim smakiem klęski i mdławymi marzeniami o odwecie.

W 1933 roku na świat przychodzą Stanley Milgram i Philip Zimbardo. Gdy dorosną, zdobędą wykształcenie i okrzepną w swoich zawodach, zaczną badać zachowanie ludzi w różnych sytuacjach. Odkryją, że człowiek jest

bardzo podatny na zewnętrzne uwarunkowania. Oraz że wcale nie może gwarantować, jak się zachowa. Dojdą do wniosku, że czasami jedyne, na co można liczyć, to szczęśliwy los, gdy nie stawia nas w skrajnych sytuacjach. Philip Zimbardo w swojej opasłej książce "Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?", napisanej ponad 20 lat po śmierci Milgrama, przeanalizował niezliczone przykłady sytuacji, w których ze zwykłych ludzi wychodziło samo zło.

Książkę można zrecenzować bardzo krótko: Na uwolnienie diabła z człowieka wpływa system, sytuacja i predyspozycja. Jedno zawiera się w drugim. Nie każdy musi mieć pecha i znaleźć się w zbrodniczym systemie, nie każdego musi dopaść sytuacja podobna do tej, w której znalazł się "nasz" żołnierz, bez wyjścia, nie każdy też musi się okazać sadystą. Ale w każdym może siedzieć diabeł gotowy do najgorszego, gdy go tylko wywołać, gdy tylko usłyszysz dwa zaklęcia na "S", System - Sytuacja.

Jeśli jednak wszystko i tak najbardziej zależy od przypadku, to co robić? Czyż nie pozostaje jedynie modlitwa o dobry los? Otóż nie! Rezultaty badań Milgrama, Zimbardo i wielu innych mogłyby być omawiane już w szkołach, dzieci powinny się uczyć, że nie od narodowości zależy to, jak człowiek się w danej sytuacji zachowa, a od sytuacji i autorytetów tymi sytuacjami zarządzających, od systemu. Nie powinny słyszeć od dziecka, a bo Niemcy to, a Polacy tamto, a Żydzi, a Arabowie... I nie chodzi o relatywizowanie win, a o rozumienie mechanizmów. Chodzi o wczucie się w sytuację kogoś, kto robi źle po to, by starać się tego nie zrobić, gdybyśmy sami znaleźli się w podobnej sytuacji.

Chodzi więc o pewnego rodzaju wyobrazeniową symulację, o "eksperyment" na samym sobie. W roku 2013 telewizja polska pokazała niemiecki mini-serial "Nasze matki, nasi ojcowie". Niemcy tym serialem próbowali dać sobie jakoś radę z własną traumą drugiej wojny światowej, z traumą winnych tej wojny. Pokazali piątkę przyjaciół, młodych ludzi, którzy znaleźli się w systemie "wojna" (zamiast "pokój") i w różnych w związku z wojną występujących sytuacjach. Serial cieszył się w Niemczech ogromnym powodzeniem, zresztą był naprawdę udany.

Zamiast jednak zrozumienia, dlaczego Niemcy zrobili taki serial, w Polsce podniósł się krzyk, że Niemcy próbują "podzielić się winą". Z pewnością słyszały to nasze dzieci, nasza młodzież nastoletnia, która nie jest jeszcze w stanie analizować rzeczywistości. Ale jak najbardziej może się nałykać uprzedzeń i negatywnych uczuć. Tym samym zdobycze eksperymentów Milgrama czy Zimbardo idą zupełnie na marne. A rzecz w tym, żeby umieć przełożyć taką wiedzę na konkretne zachowania w życiu. Żeby mieć z nich realną korzyść.

Philip Zimbardo zajmuje się także badaniem i analizowaniem tego, dlaczego jedni ludzie są bardziej ulegli a inni mniej. Uważa, że winę za to ponosi nieśmiałość. Zachęca ludzi, w tym dzieci, do pokonywania nieśmiałości. Jedną z technik jest wchodzenie w role ludzi, którzy są odważni, odgrywanie tych ról nawet przed samym sobą, albo przed osobami, które nas nie onieśmielają. Wyobrażanie sobie, jakbym się czuł/czuła w takiej sytuacji. Małe dzieci z dużą łatwością bawią się w takie wyobrażone sytuacje. Gdyby do zadań rodziców i szkół należały takie ćwiczenia połączone z analizami uczuć, które temu towarzyszą, adekwatnymi do poziomu intelektualnego dziecka, nie tylko można by wychować dziecko na bardziej autonomiczne, odważne - Zimbardo nazywa ich "bohaterami" - ale można by mieć nadzieję, że jeśli dużo takich ludzi dorośnie, to zaczną tworzyć lepsze, a przynajmniej mniej zgubne systemy.

Bardzo też pomocne jest czytanie książek, które, jak wiadomo, rozwija wyobraźnię, ale najlepsze jest łączenie różnych wzbogacających wyobraźnię czynności. Lecz przede wszystkim nie można zostawiać naszych 13-latków samych sobie poprzestając na tym, że uczą się mechanicznie, bo to za mało. Mogą być współtwórcami systemów, w których potrzebne będzie znacznie więcej.

* * *

Tekst powstał na zamówienie magazynu "Edukacja i Dialog" (nr1/2016). [1] W numerze jest wiele interesujących tekstów (poniżej całe teksty lub strony tytułowe). Wiele z nich zilustrowała Iwona Siwek-Front, moje teksty o jej

wystawie "Mózg w Piwnicy" oraz o jej portrecie prof. Jerzego Vetulaniego "Mózg Krakowa".

* * *

Również niemiecki film "Fala" ("Die Welle") oparty na faktach w reż. Dennisa Gansela z roku 2008 opowiada o podobnym eksperymencie przeprowadzonym w latach 60. przez nauczyciela historii (w tej roli znakomity Jürgen Vogel), który chce wyjaśnić swoim uczniom jakie są mechanizmy powstawania nazizmu i przekonuje się, że nie panuje już nad wydarzeniami:

<https://www.youtube.com/watch?v=4FYDF8wGn5E>